

Wywiad z profesorem Andrzejem Walickim

# Samy sobie tyranami

**Academia:** Panie Profesorze, trwa burzliwa debata nad rolą liberalizmu w polskiej transformacji. Jak to jest: czy musieliśmy w 1989 pójść drogą neoliberalizmu, wyznaczoną przez Friedricha von Hayeka?

**Prof. Andrzej Walicki:** Liberalizm jest kierunkiem bardzo wielonurtowym, ma wielu przedstawicieli. Czym innym jest liberalizm ściśle ekonomiczny, wolnorynkowy, a czym innym liberalizm pojmowany szerzej. John Stuart Mill, niewątpliwie klasyk liberalizmu, stwierdził, że nie musi on być reprezentacją ideologii wolnego rynku. A zatem nie musi być zawsze po stronie tych, którzy są silniejsi, czyli pracodawców. Sprawą centralną jest w nim bowiem wolność jednostki. Mniej więcej w połowie XIX wieku liberalizm stał się ideologią kompromisu między światem pracy a światem pracodawców, kapitału i ruchu reformistycznego. I teraz w żadnej encyklopedii czy w żadnym opracowaniu ogólnym nie znajdzie się określenia, że centralne dla liberalizmu jest pojęcie wolnego rynku. W nowoczesnym liberalizmie chodzi o wolność jednostki ludzkiej. A ona czasem jest zbieżna z wolnością rynku, a czasem nie. Jeśli chodzi na przykład o uwolnienie jednostki spod władzy cechu, rynek sprzyja wolności. Kiedy zaś w imię wolnego rynku osobom stanowiącym siłę roboczą zakazuje się jakiegokolwiek stowarzyszenia, wolny rynek okazuje się wrogiem. Bezbronny pracownik stojący przeciwko dysponującemu wszelkimi atutami i bogactwami człowiekowi, który może go zatrudnić, na jakich chce

warunkach, i zabrania nawet konsultować się z podobnymi sobie – to już nie jest ideologia wolności jednostki.

Do wolności człowieka jako jednostki należy również pewne minimum bezpieczeństwa: żeby nikt nie był zdany na łaskę losu, żeby miał prawo do godnego istnienia. Bezpieczeństwo nie jest przeciwieństwem wolności, tylko jej warunkiem. Jeśli ktoś wie, że ryzykując, naraża się na utratę absolutnie wszystkiego, nie będzie się wychylał. Będzie działał bardziej innowacyjnie tylko wtedy, kiedy będzie miał pewność, że nawet jeśli przegra, to ktoś mu pomoże. Koncepcją, że społeczeństwo jest odpowiedzialne za los każdego swego członka i musi mu to niezbędne minimum zapewnić, także zrodziła się w łonie liberalizmu. I sprawiła, że mogło powstać tak zwane państwo dobrobytu (welfare state).

Jest jeszcze kwestia sprawiedliwości. John Rawls w 1973 roku sformułował zasadę, że jedynym usprawiedliwieniem równości jest to, że jest ona w interesie tego najmniej uprzywilejowanego. Czyli tutaj kryterium jest maksymalizacja społecznego minimum – nie można w imię maksymalizacji dochodu i modernizacji wymagać zubożenia tych, którzy i tak są najniżej na drabinie społecznej. Ale inny ideolog liberalizmu Friedrich von Hayek uważał sprawiedliwość w ogóle za pojęcie anachroniczne, prowadzące do totalitaryzmu. To zrodziło odwrót od tradycji liberalnej w sensie reformistycznym do neoliberalizmu. Z tym, że na Zachodzie to się nie nazywało rewolucja liberalną. Nikt nie zaliczał Margaret Thatcher







do liberałów, bo ona sama zaliczała się do ultrakonserwatystów. Nikt nie nazywał Reagana liberałem, bo on sam nazywał się konserwatystą.

**W stosunku do sytuacji w Polsce używa Pan określenia „wypaczony liberalizm”. Dlaczego?**

Bo u nas utożsamiono liberalizm z liberalizmem ściśle ekonomicznym. Uznano, że jest on po prostu autokracją rynku. Bo nasza transformacja zbiegła się w czasie, po pierwsze, ze zmianą w liberalizmie, a po drugie, z upadkiem tak zwanego alternatywnego ustroju, jakim był komunizm Związku Radzieckiego, co spowodowało osłabienie pozycji lewicy, a nawet jej kompromitację. I choć profesor Tadeusz Kowalik podkreślał bardzo mocno, że mogliśmy się zdecydować na model skandynawski, socjaldemokratyczny, dokonano się u nas coś, co było rewolucją przeciwko reformistycznemu liberalizmowi pod hasłem powrotu do tego prawdziwego. Było to nieuzasadnione, bo główny nurt liberalizmu nadal pozostał przy tezach kompromisu między światem pracy i równowagą społecznej. Dlatego nikt, kto nazywa się liberałem w Ameryce, nie przyjmuje poglądów Leszka Balcerowicza. Takich jak on nazywa się libertarianami, a nie liberałami.

**Wpadliśmy zatem w koleiny liberalizmu prawicowego.**

Tak. Fetyszującego wolność rynku, którego – prawdę mówiąc – już nie ma. W warunkach globalizacji i wszechwładzy kapitału finansowego trudno mówić o wolnym rynku takim, jakim był kiedyś. Nie jest on już spontaniczny, ale odpowiednio sterowany i nakręcany – za pomocą takiego czy innego ustalenia wskaźników i takiej czy innej giełdowej gry można ingerować w sytuację każdego kraju, można każdy kraj doprowadzić do bankructwa. Mówi się: rynki zdecydowały, rynki się zdenerwowały. Co to znaczy? Przecież te rynki to są konkretni ludzie.

Spontaniczność rynku była cechą chwaloną von Hayeka, bo ona prowadziła do harmonii interesów. Zwolennicy wol-



## Wywiad z profesorem Andrzejem Walickim

nego rynku w XIX wieku, czyli „manchesterowcy”, uważali nawet, że rynek to jest ześwieczona opatrność. Że działa w nim sam Pan Bóg. Teraz trudno w to wierzyć. Spontaniczność jest już tylko zaśłoną. Oczywiście bardzo skuteczną. Gdyby jakiś rząd podjął decyzję o podniesieniu cen na przykład, byłyby protesty pod adresem premiera. Ale kiedy tę samą decyzję podejmują ludzie kryjący się za hasłem „rynek”, to właściwie nie wiadomo, przeciwko komu tu się buntować.

Ale tak naprawdę w tej chwili w Polsce występują dwa liberalizmy. Pierwszy jest społeczno-obyczajowy, którego wrogiem nr 1 jest tradycjonalizm, głównie katolicki. Zakłada on liberalizację prawa do aborcji, prawa do alternatywnych stylów życia pociowego i tak dalej. Drugim jest właśnie fundamentalizm rynkowy, używany – a nawet nadużywany – w celach bardzo konserwatywnych: jeśli ktoś chce ograniczyć emerytury albo mówi, że są one niepotrzebnym przywilejem, to się oczywiście powołuje na rynek.

**Premier Tusk powiedział właśnie, że jest socjaldemokratą.**

Naprawdę? Chciałbym, żeby tak było, ale wszystko temu przeczy. Choćby przeprowadzana przez rząd Tuska reforma naki: nie jest socjaldemokratyczna, tylko rynkowo-biurokratyczna.

Poza tym od sierpnia obowiązuje nowy Kodeks pracy. Jest w nim zapisany elastyczny czas pracy – nie wyliczany dziennie, tylko w skali rocznej. To znaczy, że osoba zatrudniona będzie pracowała na przykład 12 godzin przez tydzień czy dwa, a potem niby będzie miała wolny czas cały miesiąc. Niby, bo wtedy pewnie będzie szukała pracy na czarno. Polska zaczęła w 1918 roku od przyjęcia 8-godzinnego dnia pracy. Mogliśmy dzięki temu choćby planować swoje życie rodzinne. A nie siedzieć cały czas pod telefonem, nie będąc pewnym, kiedy nas wezwą. Teraz tak właśnie jest. I nie ma już Jacka Kuronia, który ująłby się za pracownikami.

**Czy w tym kontekście można powiedzieć, że liberalizm lewicowy jest możliwy?**

Coraz więcej ludzi o tym myśli. Liberalizm lewicowy ma dobre skojarzenie, ponieważ zawiera opór przeciw kolektywizmowi, który wielu ludziom się bardzo źle kojarzy. To jest liberalizm, który szanuje państwo opiekuńcze, niekoniecznie w takiej formie, jaką znamy z PRL. Trzeba z tym jednak uważać. Na przykład w krajach wielorasowych opiekuńczość państwa przybrała formy trudne do akceptacji. W USA mamy do czynienia z systemem finansowania i subsydiowania mniejszości czarnoskórej, który powodował, że wielu ludziom nie opłaca się szukać pracy, co mnoży problemy, zamiast je rozwiązywać, np. tworzy getta. Jednym słowem – idea państwa opiekuńczego się w tym przypadku trochę skompromitowała. Ale w takich społeczeństwach jak Szwecja znakomicie się sprawdza. Uważam więc, że wszelkie głosy mówiące o tym, że nieuniknione w imię rynku jest obniżenie emerytur do poziomu głodowego, albo przekształcenie służby zdrowia z prawa konstytucyjnego na takie, które służy tylko tym, którzy mają pieniądze, nie mają uzasadnienia. Polska jeszcze jest daleka od takiego modelu, ale presja w tym kierunku istnieje i należy ją zwalczać za pomocą argumentów zaczerpniętych z tradycji liberalnych.

**Czyli lewicowej idei, że człowiek ma być wolny. W Polsce mamy jednak do czynienia z umacnianiem się prawicy. I to radykalnej.**

Na jedną rzecz zwróćmy najpierw uwagę. Mówi się, że na prawicy jest konserwatyzm i że prawica jest radykalna. Tymczasem konserwatyzm ewolucyjny nie może być radykalny. Zawiera w sobie tradycyjną mądrość i opór wobec radykalizmu. Faktem jest jednak, że prawica bywa różna. Na przykład Stanisław Stomma niewątpliwie reprezentował prawicę. Ale niemającą nic wspólnego z radykalizmem. Ja jestem radykalizmem prawicowym przerażony. To zjawisko niebezpieczne i – co ciekawe – zrodzone dopiero właściwie po transformacji ustrojowej. Wcześniej prawica polska była raczej inna. Na przykład założone w 1985 roku przez filozofa, publicystę i działacza opozycji dr. Mirosława Dzielskiego Krakowskie

Towarzystwo Przemysłowe. To była prawica określająca się jako chrześcijańsko-liberalna, która jednak mówiła, że nie chodzi o walkę przeciwko komuś, tylko o coś. Głosiła program konstruktywnej pracy z ludźmi władzy, takimi jak Mieczysław Rakowski, którzy wprowadzali reformy w istniejącym ustroju. I nie dążyła do władzy. Ci ludzie uważali, że wprowadzona szybko demokracja będzie się łączyła z walką o zmianę elit, czyli spowoduje polityczną walkę wszystkich ze wszystkimi, w której najważniejszą sprawą stanie się to, kto zdominuje, chwyci za gardło i zgnoi. Twierdzili, że najpierw powinny nastąpić przemiany gospodarcze, społeczne i prawne, które stworzą grunt do cywilizowanej przemiany ustroju na demokratyczny. Ale niestety, jak już nastąpiła zmiana ustroju i wolne wybory, w których wygrał Wałęsa, od razu pojawiły się kwestie podziału zasług. A przede wszystkim pojawił się problem reformy Balcerowicza. Wiadomo było, że pociągnie ona za sobą bardzo duże koszty społeczne.

Wtedy bracia Kaczyńscy wpadli na genialny pomysł, że wszystkim trzeba obarczyć komunistów, nomenklaturę, która się uwłaszczyła. Skierowali gniew zawiedzionego, oszukanego w swoim mniemaniu elektoratu w stronę, która by ich umacniała i pozwalała dokonać przetasowania według kryteriów genealogicznych. Zaczęła się licytacja, kto ma większe zasługi, kto był po właściwej stronie i kto jest bardziej antykomunistyczny. I to ostatecznie przybrało postać, niestety, karykaturalną. Niektórych działań premiera Tuska też nie rozumiem. Na przykład idei budowania muzeum w Gdańsku dla udowodnienia, że Polska odzyskała wolność dopiero po wyborach 1989 roku. Czy świętowanie rocznicy tych wyborów bez zaproszenia kogokolwiek ze strony przeciwnej, ówczesnej partyjno-rządowej. To jest przesada, ale i tak wszystko to lepsze niż kampania lustracyjna Kaczyńskich.

**Mówi pan, że demokracja została sprowadzona do konkurencji między elitami.**

Tak. Posłowie nie czują się zobowiązani jakimiś tam obietnicami danymi





W Polsce grupy, które występują w obronie swoich interesów, nazywa się „roszczeniowymi”. Słowo „uprawnieniowi” zostało wyeliminowane

elektoratowi. I elektorat nie ma na nich żadnego wpływu. Co więcej, jak tylko elektorat się odezwie, to zaraz podnosi się argumenty populizmu albo roszczeniowości. Tymczasem w Polsce szlacheckiej postowie byli związani tak zwanymi instrukcjami poselskimi i nie mieli prawa od nich odstąpić. To była bardzo archaiczna, ale przecież demokracja.

#### Ale może by to było dobre teraz?

W jakimś sensie na pewno. Jednak nasza demokracja zaczęła się od tego, że reprezentanci obozu postsolidarnościowego podjęli decyzje, o których wiedzieli, że elektorat by ich nie poparł. Czyli od ostentacyjnego pomijania zdania społeczeństwa.

#### Grzech założycielski?

Ignorowanie założycielskie: my wiemy lepiej, naród polski do nas nie dorósł. Ktoś w tym kontekście użył określenia: przypadkowe społeczeństwo. W wyborze drogi Polski po transformacji nie było prób porozumienia. Jacek Kuroń, który wtedy podzyrował Balcerowicza, później w swoich wielu wypowiedziach powiedział, że popełnił straszny błąd. Że był od tego, żeby pilnować, żeby interesy pracownicze były dostatecznie zabezpieczone, a wydawało mu się, że po paru

latach wszyscy sobie o tym po prostu przypomną. Tak się jednak nie stało.

Demokracja to oczywiście coś więcej. To partycypacja – dopuszczenie w różnych sprawach referendum. To podejmowanie decyzji po debacie. To autonomia różnych środowisk. A co Balcerowicz napisał w swojej antologii „Odkrywając wolność”? Że w takiej demokracji działają grupy partykularnych interesów, które chcą wymusić przywileje dla siebie, co jest pogwałceniem reguł rynku i nadrzędności prawa własności. Dlatego idea społeczeństwa obywatelskiego, kiedyś tak nośna, używana przez przedstawicieli opozycji przeciwko systemowi realnego socjalizmu, została zdyskredytowana. W Ameryce zaś nikt tak nie uważa. Są tam na przykład trzy stowarzyszenia broniące praw emerytów. Rywalizują ze sobą, proszą, żeby im płacić składki, a oni będą przeciwdziałać wszelkim tendencjom do obniżenia emerytur. To jest normalny lobbying. U nas takie stowarzyszenia nazywa się korupcyjnymi. Zarzuca się, że chcą wypaczyć wolę ustawodawcy, wypaczyć demokrację. W Ameryce nikomu coś takiego nie przyszłoby do głowy.

U nas takim ludziom przykleja się etykietę „roszczeniowi”.

Zamiast „uprawnieniowi”. To słowo „uprawnieniowi” zostało wyeliminowane, chociaż papież Jan Paweł II wielokrotnie mówił, że prawa ekonomiczne, społeczne i kulturalne są tak samo ważne jak prawa polityczne i obywatelskie. I obowiązują w każdych warunkach. Ale to zostało zinterpretowane w taki sposób, że to nie prawa, tylko dobre intencje, które władza może zrealizować, ale nie musi.

#### Na czym powinien polegać teraz mądry patriotyzm w Polsce?

Patriotyzm jest pojęciem terytorialnym. To po prostu miłość do kraju. Mógł być na przykład patriotyzm wschodniogalicyski, który obejmował mieszkających tam Polaków i Ukraińców. Ale jeśli wprowadzimy kategorię narodu, to raczej nie ma Ukraińca, który by się uważał za Polaka, ani Polaka, który by się uważał za Ukraińca. Chociaż mogą być wspólnie patriotami jednego kraju. Ja wolę używać terminu „nacjonalizm”. Jest w nim tyle pozytywnego: wymiar nie tylko poziomy, czyli społeczny, ale też pionowy, historyczny – wspólny los, łatwość komunikowania się. Unikamy go jednak. Kiedy słyszymy na przykład, że Mickiewicz był nacjonalistą, to się obrażamy. A przecież tak było: on wierzył w braterstwo ludu, czyli reprezentował



## Wywiad z profesorem Andrzejem Walickim

romantyczny nacjonalizm. Teraz jednak wszędzie pojawia się tendencja do przypisywania tego pojęcia wyłącznie do plebii. To tragiczna tendencja - redukcja do jakiegoś plemienia, mającego własną ideologię, nie daj Boże jeszcze upartyjnioną, może się źle skończyć. U nas także doszło do ekstremów. Mówi się o embrionach jako Polakach: „Ileś tam milionów Polaków zostało w procesie aborcji pozbawionych życia”. No jak embrion może być Polakiem? Narodowość to przecież proces socjalizacji. A pomysły Kaczyńskiego, że niektórzy ludzie są genetycznymi patriotami? Albo mówienie o genetycznych komunistach, jak w przypadku książki „Resortowe dzieci”? To jakaś aberracja ośmieszająca nas potwornie. Można jeszcze zapytać, czy idea narodu w ogóle jest ważna? Tak, bo łączy ludzi w pewną wspólnotę. Nie może jednak być wyłączająca, monoetniczna i monotożsamościowa - wtedy staje się

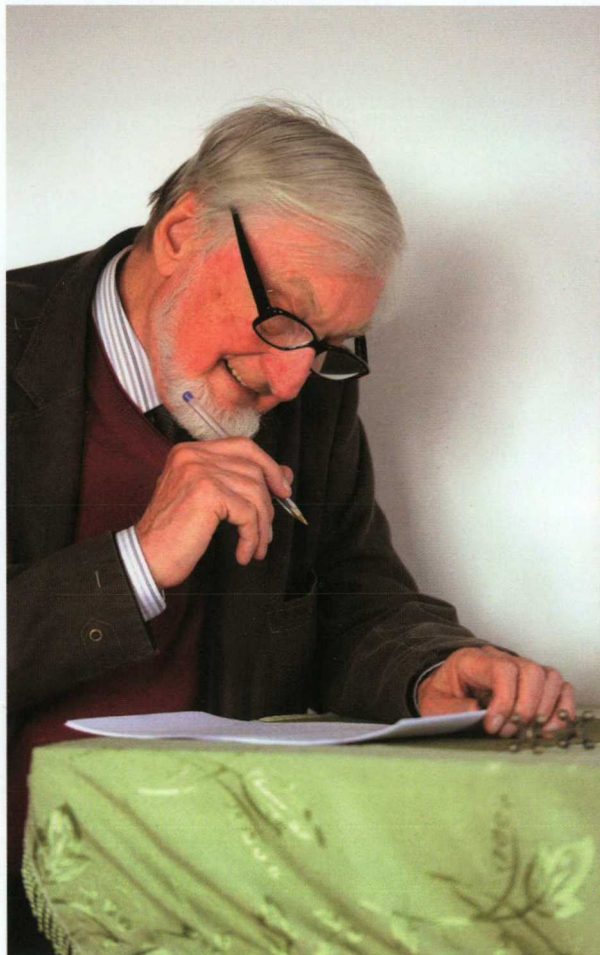
koszmarna. Dobrze pojęta idea narodu to wspólnota wielokulturowa. W tym sensie, że istnieją różne tradycje. Nie można mieć do kogoś pretensji, że nawiązuje do myśli Stanisława Brzozowskiego, czy nawet skrajnej lewicy z czasów, powiedzmy, Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, a nie na przykład do tradycji klerykalnej. To jest zupełnie absurdalne. Jeśli narzuca się jedną z opcji wewnątrz narodu jako dominującą, to idea narodu staje się karykaturą.

**Zatem ten polski nacjonalizm jest jednak wyłączający?**

Niestety. Nasz koncesjonowany zewnętrzny wróg to Rosja. Już nie można mówić, co się żywnie podoba na Niemców czy Czechów, ale do wyrzekania na Rosjan nawet jesteśmy zachęceni. Drugi wróg to są mniejszości wewnątrz kraju. Na Cyganów trochę najeżdżamy, na Żydów najeżdżamy. Tylko staramy się to ukryć, bo są

jakieś normy europejskie, są jakieś normy konstytucyjne. Ale najbardziej najeżdżamy na samych siebie. Nazywam to nacjonalizmem skierowanym do wewnątrz. Dzielimy się na prawdziwych Polaków, którzy muszą głosować koniecznie na PiS, i wszystkich innych. Jedna opcja uważa się za całość i chce wymusić na wszystkich innych dostosowanie się. I ten, kto tego nie robi, to taki jakiś nieprawdziwy Polak, pół-Polak, metrykalny albo nominalny, jak to się ostatnio mówi. Czyli sami siebie tyraniżujemy. John Stuart Mill powiedział, że fakt, iż ludzie wybierają sobie parlament, wcale nie jest zabezpieczeniem przed despotyzmem. Mogą sami sobie narzucać tyranię. I nawet mówić: to nasza własna tyrania, nie mamy nic przeciwko temu. Gdyby jakiś obcy nam ją narzucił, to byśmy wierzgali. A tak - siedzimy cicho. ■

Rozmawiała Anna Zawadzka  
Zdjęcia Jakub Ostalowski



**Prof. dr hab. Andrzej Walicki**

Historyk idei, urodzony 15 maja 1930 roku. Badacz filozofii i myśli rosyjskiej i polskiej, historii marksizmu i liberalizmu. Emerytowany profesor Uniwersytetu Notre Dame (USA), Filozofii i Socjologii PAN, członek Polskiej Akademii Nauk. W latach 60. związany (obok Bronisława Baczy, Leszka Kołakowskiego, Tadeusza Krońskiego, Jerzego Szackiego) z tzw. warszawską szkołą historii idei. Jest autorem wielu prac, w tym m.in. „W kręgu konserwatywnej utopii. Struktura i przemiany rosyjskiego słowianofilstwa” (Warszawa 1964, przekład angielski 1975 i 1989, włoski 1973, ukraiński 1998); „Filozofia a mesjanizm. Studia z dziejów filozofii i myśli społeczno-religijnej romantyzmu polskiego” (Warszawa 1970); „Rosyjska filozofia i myśl społeczna. Od Oświecenia do marksizmu” (Warszawa 1973, przekład angielski 1979, 1980); „Zarys myśli rosyjskiej. Od Oświecenia do renesansu religijno-filozoficznego” (2005); „Philosophy and Romantic Nationalism. The Case of Poland” (Oxford 1987, Notre Dame 1994); „Legal Philosophies of Russian Liberalism” (Oxford 1987, Notre Dame 1992, przekład polski 1995); „Trzy patriotyzmy. Trzy tradycje polskiego patriotyzmu i ich znaczenie współczesne”, Warszawa 1991; „Marxism and the Leap to the Kingdom of Freedom. The Rise and Fall of the Communist Utopia” (Stanford 1995, autorski przekład 1996, przekład ukraiński 1998); „Rosja, katolicyzm i sprawa polska” (Warszawa 2002); „Idee i ludzie. Próba autobiografii” (Warszawa 2010).